



ONE PŁONĄ

JAŚNIEJ

Płonący portret tego, jak wygląda feminizm
w większości miejsc na świecie.

VOGUE

SHOBHA RAO



Tytuł oryginału: Girls Burn Brighter

Girls Burn Brighter.

Text Copyright © 2018 by Shobha Rao.

Published by arrangement with Flatiron Books.

All rights reserved.

Copyright © for the translation by Joanna Jurewicz

Wydawca prowadzący: Monika Rossiter

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Przyjęcie tłumaczenia: Ewa Polańska

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: d2d.pl

Książka jest dziełem literackim. Wszystkie przedstawione w niej postacie, organizacje i wydarzenia są albo wytworem wyobraźni autorki, albo zostały użyte fikcyjnie.

ISBN 978-83-7515-584-6



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

SŁOWO OD TŁUMACZKI

Urodzić się kobietą to wyrok dożywocia. Urodzić się biedną kobietą – to dożywocie podwójne. Biedną i niewykształconą – potrójne. Choć akcja książki Shobhy Rao zaczyna się w małej indyjskiej wiosce, to problem jest wszędzie taki sam: w losach dwóch bohatererek przegładamy się wszyscy – kobiety i mężczyźni po obu stronach Atlantyku – jak w lustrze. Tylko to, jak ten wyrok wygląda, bywa różne w zależności od miejsca i czasu.

Urodzić się kobietą to dostać szansę. Na szacunek. Na wolność. Na miłość. Wbrew wszystkiemu. Bohaterki niniejszej powieści szukają tych wartości niczym skarbów po całym świecie. I paradoksalnie, im więcej tracą jako obiekty seksualne, tym więcej zyskują jako żywe, czujące ludzkie istoty. Istoty silne i zdecydowane. Niezależne od otoczenia i zmieniające je wedle własnej woli. Zdolne do pokonania największych przeciwności losu. Do ocalenia samych siebie i siebie nawzajem.

Dla Leigh Ann Morlock

INDRAWALLI

Najniezwyklejszą rzecz w świątyni leżącej opodal Indrawalli niełatwo było zobaczyć. Najpierw trzeba było wspiąć się na górę i podejść bliżej, a potem długo i z namysłem przypatrzeć się wejściu. Drzwiom. Nie ich rzeźbionym skrzydłom, nie ich subtelnemu słojuwaniu, ale temu, jakie były – odważne, świetliste i samotne. Silne i wysokie tak, jakby wciąż jeszcze były drzewem. Drewno na nie ściągnięto z gaju rosnącego na północny zachód od Indrawalli. Gaj należał do starej bezdzietnej kobiety – mówiono, że ma ponad sto lat. Wcześniej wraz z mężem uprawiała ziemię, ale kiedy zrozumiała, że nigdy nie będzie mieć dzieci, zaczęła hodować drzewa, chcąc pielęgnować coś, co jest delikatne i piękne. Jej mąż otaczał małe sadzonki kolczastymi krzewami, by ochronić je przed dziką zwierzyną, a ona – ponieważ okolica była sucha – nosiła wodę kilometrami, by je odpowiednio podlewać. Ich gaj szczycił się teraz setkami drzew. Wszystkie mocne, kołysane suchym wiatrem.

Pewien dziennikarz z lokalnej gazety przyjechał kiedyś przeprowadzić wywiad ze starą kobietą. Dotarł na miejsce w porze popołudniowej herbaty. Siedzieli w cieniu jednego

z drzew, wysoko nad nimi szumiały jego szerokie liście. Pili w milczeniu, nawet dziennikarz, zapomniawszy o wszystkich swoich pytaniach, był pod wrażeniem spokojnej zielonej ciszy i piękna tego miejsca. Słyszał o bezdzietności kobiety, o niedawnej śmierci męża, więc, chcąc ją jakoś delikatnie zagadnąć, rzekł:

– Dotrzymują pani towarzystwa, prawda? Te drzewa? Szare oczy starej kobiety uśmiechnęły się:

– O tak. Nigdy nie jestem sama. Mam setki dzieci.

Dziennikarz dostrzegł okazję.

– Więc pani traktuje je jak dzieci?

– A jak pan myśli?

Zapadła cisza. Dziennikarz długo, z namysłem przyglądał się drzewom, ich grubym pniom, ich sile – mimo suszy, chorób, owadów, powodzi, głodu – cały czas świecącym złotozielonym światłem. Promiennym nawet w ciężkim upale popołudnia.

– Musi pani być szczęśliwą kobietą – powiedział – skoro ma pani tak wielu synów.

Stara kobieta spojrzała na niego, w jej oczach pojawił się ogień, pomarszczona twarz nabrała blasku dawnej dziewczęcości.

– Jestem szczęśliwa – odparła – ale pan się myli, młody człowieku. To nie są moi synowie. Żadne z nich. To moje córki.

Purnima nigdy nie zwróciła uwagi na drzwi świątyni. Podobnie jak Sawitha. Ale świątynia, usadowiona na górze wznoszącej się ponad Indrawalli, przyglądała im się bacznie. Sama wioska leżała niedaleko brzegów rzeki Kryszny, jakieś sto kilometrów w głąb lądu od Zatoki Bengalskiej. Chociaż znajdowała się w dolinie, osłaniała ją jedna z największych gór w Andhra Pradeśu, Indrawalli Konda, ze świątynią w połowie drogi na szczyt na jej wschodnim zboczu. Świątynia była świetlistobiała i przypominała Sawicie wielki kłób bawełny. Dla Purnimy była bardziej niczym Księżyc w pełni, stale otoczony niebem i gałęziami rosnących wokół drzew.

Purnima miała dziesięć lat, kiedy stojąc przed rodzinną chatą, przyglądała się świątyni. Odwróciła się do ojca siedzącego za nią na splecionej z taśm konopnych pryczy i zapytała:

– Dlaczego ty i amma nadaliście mi imię pełni Księżyca?* – Jej matka siedziała przy krosnach, pogrążona w pracy,

* *Purnimā* znaczy w hindi „Księżyc w pełni, pełnia” (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

więc Purnima nie chciała jej przeszkadzać. Gdyby wiedziała, że za pięć lat nie będzie już wśród żywych, pewnie nie przejęłaby się ani trochę tym, że może jej przeszkodzić, gdy przytula się do jej szyi, wdychając najdrobniejszy ślad jej zapachu. Ale ojciec nawet nie podniósł głowy. Po prostu dalej związał tytoń. Może jej nie słyszał. Więc Purnima próbowała znowu: – Nanna, dlaczego...

– Obiad gotowy?

– Prawie.

– Ile razy mam ci powtarzać, że ma być gotowy, gdy wracam do domu?

– Czy to dlatego, że urodziłam się w noc pełni Księżyca? Wzruszył ramionami.

– Nie wydaje mi się.

Purnima wyobraziła sobie twarz niemowlęcia i spytała:

– Czy moja twarz była okrągła jak Księżyc w pełni?

Westchnął. W końcu powiedział:

– Twoja matka miała sen, kilka dni przed twoimi narodzinami. We śnie przyszedł do niej *sadhu* i powiedział, że jeśli nazwiemy cię Purnima, następnym naszym dzieckiem będzie chłopiec.

Purnima patrzyła, jak ojciec zapala tytoń, a potem wróciła do chaty. Nigdy więcej nie spytała o swoje imię. W rozświetlone noce księżycowej pełni ze wszystkich sił starała się, żeby nawet nie zerknąć w górę. Przecież to po prostu kamień, tłumaczyła sobie, wielki szary kamień na niebie. Ale trudno jej było zapomnieć o tej rozmowie. Pojawiała się nagle ni stąd, ni zowąd, jakby znikąd. Na przykład kiedy próbowała, czy jest dość soli w sambarze, albo kiedy podawała ojcu herbatę. *Sadhu* miał rację, oczywiście: po niej przyszło na świat jej trzech młodszych braci. Więc co w tym było smutnego? Nie ma żadnego powodu, by się smucić. Czasami nawet czuła dumę i mówiła

do siebie, byłam ich nadzieją, która się spełniła. Wyobraź sobie, gdybyś się nie spełniła. Wyobraź sobie, że nie masz nadziei.

Gdy Purnima skończyła piętnaście lat, osiągnęła wiek, w którym nadawała się już do małżeństwa, i przestała chodzić do szkoły prowadzonej przez siostry zakonne. W wolnym czasie siadała przy kołowrotku, ćarkhce, aby pomóc w gospodarstwie. Za każdą ukończoną szpulę nici – czasami czerwonej, czasami niebieskiej, czasami srebrnej – otrzymywała dwie rupie, co wydawało jej się fortuną. I w pewnym sensie nią było: gdy w wieku lat piętnastu dostała pierwszej miesięczki, otrzymała najdroższą część garderoby, jaką kiedykolwiek przyszło jej nosić – jedwabną langę wartą sto rupii. Mogę tyle zarobić w mniej niż dwa miesiące, pomyślała z zapartym tchem. A ponadto sam fakt, że ona, dziewczyna, mogła cokolwiek zarobić, w ogóle cokolwiek, dawał jej takie głębokie i silne poczucie znaczenia – poczucie wartości – że siadała za ćarkhą, gdy tylko miała okazję. Budziła się wcześniej rano, by prząść, przędła, kiedy umyła naczynia po śniadaniu, po tym, jak przygotowała i podała obiad, a potem znowu po kolacji. W chacie nie było elektryczności, więc gdy przędła, ścigała się ze słońcem. Noce pełni były też wystarczająco jasne, ale zdarzały się tylko raz w miesiącu. Tak więc przez większość wieczorów, jak tylko słońce zaszło, odkładała ćarkhę i patrzyła niecierpliwie na księżyc – na wążutki rożek zaraz po nowiu, gdy stawał się półksiężycem i wzbierał dalej, by zaraz potem znów maleć, i rozżalona pytała: „Dlaczego nie możesz być zawsze w pełni?”

Ale światło słońca i księżycyca nie było jedynym powodem troski Purnimy. Drugim, tym głównym, była choroba jej matki. Rak – tyle tylko mógł stwierdzić lekarz

w amerykańskim szpitalu w Tenali. Lekarstwa kosztowały dużo, a doktor zalecił dietę z owoców i orzechów – też kosztowną. Jej ojciec, wytwórca samodzielnych bawełnianych sari, z których słynął rejon Gunturu, ledwo mógł utrzymać żonę i piątkę dzieci z rządowych racji ryżu i soczewicy, nie mówiąc już o luksusie owoców i orzechów. Ale Purnima nie dbała o to. Delektowała się – nie, nie po prostu delektowała się, ale napawała się, rozkoszowała – jedzeniem, które codziennie przynosiła matce: dwa banany, maleńkie jabłko i garść orzechów nerkowca. Nie znaczy, że naprawdę je jadła. Nigdy nie ugryzła nawet maleńkiego kęsa, choć raz matka próbowała ją nakłonić, by zjadła orzeszek, ale gdy tylko na moment się odwróciła, Purnima odłożyła go z powrotem na stosik. Nie, Purnima rozkoszowała się, patrząc, jak matka powoli zjada banana; żucie nawet tak miękkiego owocu wyczerpywało ją, ale Purnima patrzyła na nią z takim przekonaniem, z taką nadzieją, że wydawało jej się, że matka staje się silniejsza na jej oczach. Zupełnie jakby siła matki była nasionkiem, a Purnima musiała tylko dorzucić do niego pożywienia za dwie rupie, by potem móc patrzeć, jak kiełkuje.

I doszło do tego, że Purnima robiła nieomal tyle samo co jej ojciec. Otrzymywała zwoje surowej przędzy, niepodzielonej, w zwartych motkach i przy użyciu ćarkhy przędła ją, dopóty nie rozpadała się na osobne nici, wtedy Purnima owijała je wokół metalowego pojemnika. Kiedyś spojrziała na nić oplatającą kanister i pomyślała, że wygląda on zupełnie jak mała drewniana beczka, o rozmiarach niewiele mniejszych niż głowa jej najmłodszego braciszka. Nić w końcu łądowała na krosnach ojca, na których on tkął sari. Zanim tam dotarła, jeszcze ją obrabiano, ale Purnima zawsze uważała, że umie ocenić długość utkanej przez siebie nici. Rozpoznać kanistry, wokół których ją

owijała. Gdyby komukolwiek to powiedziała, roześmiałby się jej w twarz – przecież one wszystkie wyglądają tak samo, powiedziałby, ale ten ktoś nie miałby racji. Jej dłonie wyczuwały pojemnik, znały jego wgniecenia, zarysy jego kształtu, wzory wyżarte przez rdzę. Trzymała go przecież w ręce, a wydawało jej się, że wszystkie rzeczy, które trzyma się w ręce, tak naprawdę nigdy nie odchodzą. Jak ten nakręcany budzik, który nauczycielka dała jej, gdy odchodziła ze szkoły. Miał okrągły niebieski cyferblat, cztery małe nóżki i dwa dzwonki rozbrzmiewające co godzina. Nauczycielka, stara, zgorzkniała katolicka zakonnica, wręczyła go jej ze słowami:

– Mam nadzieję, że te dzwonki znajdą ci teraz męża. I dziecko co roku przez następnych dziesięć lat. Masz, trzymaj. Trzymaj się go. Nie rozumiesz, o co mi chodzi, ale któregoś dnia będziesz wiedzieć. – Nakręciła zegarek i usłyszały dzwonek. – Pamiętaj – rzekła – to jest twój dźwięk. Nikogo innego. Tylko twój.

Purnima nie miała pojęcia, o czym mówi stara zakonnica, ale pomyślała, że dzwonienie budzika jest najcudowniejszym dźwiękiem, jaki kiedykolwiek słyszała.

Nosiła go ze sobą wszędzie. Gdy pracowała, stawiała budzik w pobliżu ćarkhy. Gdy jadła, kładła obok talerza. Gdy spała, był przy jej macie. Aż pewnego dnia, takiego zupełnie zwykłego dnia, zegarek przestał dzwonić, a ojciec wykrzyknął:

– Nareszcie! Myślałem, że to coś już nigdy nie przestanie!

Kilka miesięcy po tym, jak budzik się zepsuł, matka Purnimy umarła. Purnima właśnie skończyła szesnaście lat – była najstarsza z piątki dzieci – i patrzeć na to, jak matka odchodzi, było niczym obserwowanie, jak zwiewny błękitny poranek zamienia się w szary. Najbardziej tęskniła

za jej głosem. Miękkim, miodopłynnym i ciepłym na tle przeżartych przez szczury ścian małej chatki. Purnimę cieszyło, że ten śliczny głos do niej dochodzi, że przenika długie godziny, a przecież te wszystkie godziny tak naprawdę sprowadzały się do dwóch bananów, jabłka i garści nerkowców. Głos matki był głosem, który mógł sprawić, że nawet tych kilka rzeczy wydawało się okupem godnym królów. A teraz Purnima straciła zarówno matkę, jak i budzik.

Kiedy matka umarła, Purnima zwolniła bieg ćarkhy, odkładała ją czasem nawet w środku dnia i wpatrywała się w ściany chaty, myśląc, że zapomni jej głos. Może o to chodziło starej zakonnicy: zapomina się dźwięk, którego nie słyszy się codziennie. Teraz wydaje mi się, że nie zapomnę, ale to kiedyś się stanie. I wtedy stracę wszystko. Wtedy zrozumiała, że musi pamiętać coś więcej niż tylko głos, musi pamiętać jakąś chwilę. Wtedy coś jej się przypomniało: w czasie całej swojej choroby matka rano czuła się na tyle dobrze, by móc uczesać Purnimę. Na dworze było jasno i słonecznie, a dotknięcia grzebienia tak delikatne i lekkie, że Purnima czuła, jakby trzymał go nie człowiek, lecz maleńki ptaszek, który przysiadł na jego rączce. Matka przeczesła jej włosy trzy czy cztery razy i nagle przestała. Na moment położyła dłoń na dłoni córki, a gdy Purnima odwróciła się do niej, zobaczyła, że oczy ma pełne łez. Matka odpowiedziała jej spojrzeniem i ze smutkiem, który wydawał się stary i nieskończony, rzekła:

– Purnimo, jestem taka zmęczona. Taka zmęczona.

Jak długo po tym umarła?

Trzy, może cztery miesiące później – przypuszczała Purnima. Pewnego ranka wstali i otwarte oczy matki były puste, bez życia. A Purnima nie mogła się rozplakać. Ani wtedy, ani później, kiedy pomagała kąpać i ubierać ciało matki. Ani wtedy, kiedy ojciec i bracia nieśli ją, okrytą jaśminem, przez

wioskę. Ani nawet wtedy, kiedy stos ciałopalny zamienił się w zimny popiół. Nie płakała też, kiedy nawlekła ostatnią chryzantemę na girlandę zwieszającą się z jej portretu. Dopiero później, kiedy wyszła w pierwsze chłodne jesienne rano, zaczęła płakać. A raczej – próbowała płakać. Pamiętała, że niewiele łez popłynęło z jej oczu. Miała wrażenie, że jest złą córką – bo nie płacze, bo nie rozpacza – ale bez względu na to, jak się czuła, była w stanie wycisnąć z siebie najwyżej jedną czy dwie łzy. Lekkie zaczerwienienie oczu.

– Amma – powiedziała, patrząc w niebo. – Wybacz mi. To nie dlatego, że cię nie kocham. Ani że nie tęsknię za tobą. Nie rozumiem tego: wszyscy płaczą. Wokół mnie łzy leją się strumieniami. Ale one nie są jedyną miarą, prawda?

I po kilku miesiącach stało się to, czego tak się obawiała: zapomniała głosu matki.

Jednak tym, co wciąż pamiętała, tym, co naprawdę z nią zostało, była ta krótka chwila, kiedy matka, czesząc ją, położyła swoją dłoń na jej dłoni. To było najdelikatniejsze z możliwych dotknięć, a mimo to Purnima je czuła, cały czas: czuła ciężar dłoni matki. Ciężar tak lekki i filigranowy, że przypominał rozprysk kropel deszczu w gorący letni dzień. Ciężar tak mały i tak zmęczony, ale dostatecznie silny, by wzmacniać ją, płynąc w jej żyłach jak krew.

W końcu uznała, że to był najpiękniejszy w świecie ciężar.

Raz w miesiącu Purnima chodziła do świątyni na Indrawalli Kondzie, by pomodlić się za matkę. Stała w przesyconym zapachem kadzidła przedsionku i patrzyła na kapłana z nadzieją, że bogowie do niej przemówią, że powiedzą, że jej amma jest z nimi, chociaż najbardziej chciała dotrzeć do dipy, maleńkiej latarenki umieszczonej na samym szczycie góry. Czasami, w niedzielę czy w dzień święta, stawiała

przed chatą i patrzyła, a dipa się paliła, daleka, żółta i mru-
gająca, jak gwiazda.

- Kto ją zapala? - zapytała raz ojca.

- Co zapala?

- Tę latarenkę na szczycie.

Ojciec siedział przed chatą, odpoczywając po kolacji, czuł znużenie w ramionach, ciało miał zgarbione. Spojrzał na Indrawalli Kondę i rzekł:

- Pewnie jakiś kapłan. Albo dziecko.

Purnima przez chwilę milczała, a potem powiedziała:

- Myślę, że to amma zapala.

Ojciec spojrział na nią. Wzrok miał ciemny i pusty, jak-
by dopiero co wyszedł z płonącego budynku. Poprosił, by
przyniosła mu herbaty. Kiedy wręczyła mu kubek, rzekł:

- Jeszcze dziesięć miesięcy.

- Dziesięć miesięcy?

- Do końca rocznej żaloby.

Dopiero teraz Purnima zrozumiała, co miał na myśli.
Po śmierci w rodzinie przez rok nie należało organizować
żadnej uroczystości, a co dopiero wesela. Od śmierci matki
minęły dwa miesiące. Za dziesięć miesięcy, mówił ojciec,
Purnima wyjdzie za mąż.

- Rozmawiałem już z Ramajją. Niedaleko stąd mieszka
rolnik. Ma kilka hektarów ziemi na własność, pracowity.
Dwa bawoły, krowa, kilka kóz. Ale on nie chce czekać.
Potrzebuje pieniędzy od zaraz. I martwi się, że nie będziesz
chciała być żoną rolnika. Mówiłem Ramajji, popatrz na
nią, po prostu popatrz na nią. Jest silna jak wół, ona jest
wołem. Daj sobie spokój z wołami, ona może orać pola.

Purnima skinęła głową i poszła na tył chaty. Miała tyl-
ko małe ręczne lusterko, nie mogła nawet zobaczyć całej
swojej twarzy, chyba że trzymała je na długość wyciąg-
niętego ramienia. Zbliżyła je do siebie, ujrzała oko, nos,

potem opuściła do szyi, piersi, bioder. Wól! Ogarnął ją nagły smutek. Nie wiedziała dlaczego. Zresztą to nie miało znaczenia. Tylko dzieci smucą się bez powodu. Wiedziała jedynie, że gdyby jej matka żyła, ona prawdopodobnie już byłaby mężatką. Może nawet byłaby w ciąży albo miała dziecko. To też nie był żaden powód do smutku. A jednak ten rolnik ją niepokoił. Co będzie, jeśli naprawdę każe jej ciągnąć pług? A co, jeśli jej teściowa okaże się okrutna? A co, jeśli będą mieli tylko dziewczynki? I wtedy usłyszała głos ammy. Żadna z tych rzeczy jeszcze się nie zdarzyła, mówiła amma. A potem dodała: „Wszystko jest zapisane w gwiazdach, Purnimo. Przez bogów. Nic nie możemy zmienić. Więc jakie to ma znaczenie? Po co się martwić?”.

Miała oczywiście rację. Ale kiedy tej nocy Purnima leżała na macie, myślała o rolniku, myślała o latarence na szczycie Indrawalli Konda, myślała o piękności. Gdyby miała jaśniejszą skórę, gdyby miała gęstsze włosy albo gdyby jej oczy były większe, ojciec może znalazłby jej lepszą partię: kogoś, kto chciałby żony, a nie wołu. Słyszała kiedyś, jak Ramajja mówił do jej ojca:

– Twoja Purnima dobrze pracuje, ale wiesz, ci dzisiejsi chłopcy szukają nowoczesnych dziewczyn. Chcą mody.

Mody? Pomyślała o swojej matce, o jej ostatnich dniach, kiedy wiała się z bólu, o ciężarze dłoni na dłoni, a potem o dwóch bananach, jabłku, garści nerkowców i wtedy jej serce pękło, jakby to był moment, na który czekało. Wylała tyle łez, że aż myślała, że nigdy nie przestanie. Płakała cicho, by śpiący ojciec, bracia i siostra jej nie usłyszeli, mata, na której leżała, cała przesiąkła łzami, zapach ziemi przebijał się spod niej, jak to bywa po deszczu, w końcu ciało Purnimy tak się wyczerpało łkaniem, tak się wypłukało z uczuć, stało się cudownie puste i Purnima się uśmiechnęła, i zapadła w głęboki sen bez marzeń.